Kolekcja Emila Kornasia

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu CZYTELNIA

Należytość pocztową uiszczono gotówką.

Nr. 53 Lwów — Luty 1929 Rok VI.

PANTEON POLSKI

Poświęcony czynowi Józefa Piłsudskiego i bohaterstwu Żołnierza Polskiego, kronice walk o Niepodległość i pamięci poległych Obrońców Ojczyzny o wolność Polski.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

Lwów-Skrytka 98. — Telef. 22-90. — PKO. Warszawa 152.950. — Kwart. zł. 2.50. CENA EGZ. 90 gr.

P. O. W. WE LWOWIE.

Kiedy Komendant dał rozkaz tworzenia wojska, opartego na elementach ideowych, wychowanych w Związkach Strzeleckich przed wojną i w Legjonach w czasie wojny — *Lwów był jednym z pierwszych*, który natychmiast rzucił się w wir pracy organizacyjnej w myśl założenia i woli Komendanta.

Pierwsze podwaliny w organizacji P. O. W. położył ówczesny kapitan I Bdy, dziś generał i Szef W. B. Histor. Juljan Wicz-Stachiewicz, który powołany do większej działalności na terenie całego Państwa, oddał funkcje kierownicze ówcz. kapitanowi 4 p. Legj. Franciszkowi Sikorskiemu, dziś generałowi bdy.

Sikorski zgrupował prawie wszystkich Legjonistów, nawiązał kontakt z organizacjami na Ukrainie, zorganizował skarb peowiacki, wystawił kompanję studencką, obsadził posterunki na prowincji, a kiedy wojskowe władze austrjackie wzywały „urlopowanego" legj. kap. Sikorskiego do służby wojsk. — Sikorski wyjechał na Kubań, otrzymawszy poprzednio z organizacji najoryginalniejsze dokumenty podróży do jakiegoś oddziału wojskowego w Odessie.

Po Sikorskim objął chwilowo komendę oficer legjonowy Joniak, a wnet od niego odebrał komendę okręgu ówczesny podp. Legj. 4 pp. Leg. Ludwik de Laveaux-Randolf, dziś pułk. S. G., który prowadził komendę P. O. W. już do końca października 1918 r.

Okręg podzielony został na obwody w Brodach, Jarosławiu, Kołomyji i w Stanisławowie.

Obwód lwowski posiadał własny oddział techniczny, studencki, kolejowy, pocztowy, kobiecy i t. p. Oddziałem technicznym kierował ofic. Kudelski Juljusz, który w czasie obrony Lwowa odznaczył się zaszczytnie; studencki oddział zorganizował i prowadził dziś już nieżyjący ppor. Sieleski; kolejowy inż. Kozłowski; pocztowy zorganizował piszący; kobiecy p. Bujwidówna. Istniejący tajny Związek Młodzieży Niepodległościowej zlał się z P. O. W., a świeżo powstała organizacja „Wolność", pracująca wśród oficerów Polaków w wojsku austrjackiem — była również w ścisłym kontakcie z P. O. W. W tej ostatniej organizacji pracowali por. Kron-Zbych, Próchnik-Halny, a później ppor. Tadeusz Nittman-Michał.

Łączność ze sztabem w Warszawie i oddziałami na prowincji a też i na Ukrainie utrzymywali kurjerzy, którzy jeździli bardzo często i posiadali różnego rodzaju dokumenty urzędowe, umożliwiające im przejazdy wśród tak gęsto ówcześnie rozstawionych żandarmów i tajnych agentów policyjnych.

Oficerowie legjonowi i starsi podoficerowie legj. jużto werbowali, jużto odbywali z nowozaciążnymi wykłady, ćwiczenia w lokalu i polowe. Po wakacjach 1918 r. ćwiczenia i szkolenie były bardzo intenzywne.

Wykłady o wywiadach odbywały się często; dnia 27 października były ćwiczenia całodzienne. Był to dzień wolny od nauki z powodu ruskiego święta i młodzież z kompanji studenckiej wyszła o godzinie 7.30 rano w dwu sekcjach z parku Kilińskiego w stronę Persenkówki i Siebowa. Odbyto ćwiczenia marszowe z patrolami i ubezpieczeniami, przyczem ćwiczono musztrę a potem przez Winniki powrócono do Lwowa późnym wieczorem.

We Lwowie pracowali b. oficerowie legjonowi jak de Laveaux, Ołowski-Krawczyk, Greffner, Jakubski, Rapacki, Deschou, Zygmuntowicz, A. Rutkowski, Sieleski, Bujwidówna, Świtalski, Barwiński, Kopeć Ludwik (Wiktor), Wasilewski, Nilski-Łapiński, Kudelski, Ajdukiewicz, Mościcki, Nittman, Kolbuszowski, W. Siemiaszko, pozatem wielu innych, jak zbliżeni do nas mjr. Śniadowski, kapiptan Br. Pieracki, nienależący do żadnej organizacji.

P. O. W. posiadała najszybsze i najlepsze wiadomości, dotyczące tak ogólnego położenia — jak i obchodzącego specjalnie nas tu we Lwowie.

Ob. Kopeć Ludwik organizował Rzęsnę Polską, gdzie miał rozbroić stojącą tam artylerję austr. a działa i obsługę polską wcielić do POW.: z oddziałów dawnych legjonistów, stojących opodal Lwowa — przychodziły mniejsze transporty broni ręcznej, granatów i t. p., również wystawiano posterunki i wysyłano patrole.

Dnia 31-go większy oddział P. O. W. obsadził Dom Akademicki i lokal Ligi Kobiet przy placu Akademickim 1. większy oddział z Kopciem odmaszerował do Rzęsny, mniejszy oddział z piszącym te słowa odszedł na główną pocztę, którą miał obsadzić, co się też stało około godz. w pół do 11 w nocy. W godzinę, na rozkaz komendy ściągnięty został ten posterunek, tylko dwaj łącznicy pozostali aż do czasu zajęcia poczty przez Rusinów, o czem zameldowali komendzie.

Wysłany na wywiad do koszar przy ul. Kurkowej — peowiak ppor. Andrzej Bataglja zginął o północy z rąk ruskiego żołnierza, stojącego na posterunku w koszarach.

Jednak z powodów politycznych i niezrozumienia nie doszło do uzgodnienia naczelnej komendy i zarządzono tylko, by podpor. Wasilewski odszedł z Domu Akademickiego z oddziałem peowiaków do Domu Techników, a por. Deschou z kilkunastu peowiakami zajął stanowisko w domu Ligi Kobiet, gdzie pełnił służbę do południa dnia drugiego. Wśród tych, którzy odeszli z Wasilewskim byli por. Jaster, Mościcki, Szydłowski, Weber, Skalski, Zawadzki, Krupiński, Krukowiecki, Zaborowski i kilkudziesięciu innych peowiaków.

Gdy nazajutrz, w dniu Święta zmarłych — wreszcie powstała naczelna kom. i miała rozpocząć się już miarowa walka o każdą piędź ziemi naszej, P. O. W. powtórnie zmobilizowała swoich członków i oddała ich ogólnej komendzie. (Z.)

Ostatni Rozkaz Komendanta P. O. W. we Lwowie.

P. O. W. Okręg Lwowski — Rozkaz dzienny Nr. 13.

Lwów, dnia 15. grudnia 1918.

1. Obywatele! Idea, z którą dążyliśmy naprzód przez cały czas naszej pracy w Strzelcu, Legjonach, P. O. W. i Wolności, idea tworzenia armji polskiej z woli Narodu, armji — fundamentu własnej państwowości — zwycięska idea Józefa Piłsudskiego, przemieniła się w rzeczywistość. Praca nasza, tajna i niebezpieczna, a przedewszystkiem przez samą konspirację trudna i żmudna, wydała z chwilą zrzucenia z siebie jarzma niemieckiego, owoce.

Znaleźliście się w pierwszym szeregu wojsk polskich w walkach o Lwów i kresy wschodnie. Waszej organizacji, którąśmy podporządkowali idei jednolitej obrony, oraz pogotowiu, zawdzięcza kraj, że w chwili ruskiego zamachu nie stanął przed bezsilnem społeczeństwem, lecz porwał się na czyn i pociągnął za sobą innych. Wasza gotowość bojowa, organizacja wojskowa i aparat techniczny dały inicjatywę walki o Lwów.

Armja polska i jej dowódcy już Wam — wprawdzie nie jako organizacji — lecz jako żołnierzom złożyli za to podziękę, a kraj gorące „Cześć". Dziś, w chwili, gdy z rozkazu najwyższego komendanta P. O. W. organizacje nasze: POW. i Wolność zostają na obszarze zajętym przez wojska polskie rozwiązane i wcielone do armji polskiej, składam Wam, jako Wasz komendant, podziękę za Waszą współpracę i krzewienie idei w warunkach ciężkich, za czujność w okresie, gdy walki polityczne omamiały młodzież i odciągały ją od pracy na terenie jej właściwym, na terenie wojskowym.

Wiem dobrze, że wszyscy jesteście w szeregach i nie zawahacie się oddać swoją krew za Ojczyznę, wiem, że zawsze znajdziemy się w każdej potrzebie razem. Lecz chciałbym, by nam wszystkim pozostał w pamięci okres wspólnej pracy przygotowawczej do wystąpienia czynnego.

2. *Pochwały.* Wyrażam pochwałę i uznanie: członkom P. O. W.: kap. Kudelskiemu (Juljuszowi) za stworzenie wprost z niczego i zorganizowanie we Lwowie i na prowincji rozległego aparatu technicznego; ppor. Ołowskiemu Tadeuszowi za doskonałe pełnienie służby adjutanta i referenta wywiadowczego okręgu, oraz pracę organizacyjną w okręgu; ppor. Grefnerowi Alfredowi (Radwan) za szybkie ujęcie rozluźnionych oddziałów i zorganizowanie ich; chor. dr. Landauowi Maksowi za wydatną pomoc w rozszerzaniu naszych zastępów; ppor. dr. Rutkowskiemu Aleksandrowi za pracę na terenie wojskowym; Adamciowi za wydatną pracę organizacyjną; Rapackiemu Alfredowi (Złom) za sumienne wypełnianie funkcji komendanta placu; por. Gustawowi Szczerskiemu za akcję organizowania finansów okręgu oraz pracę agitacyjną; por. Zygmuntowi Zymuntowiczowi za akcję agitacyjną, werbunkową, oraz finansową. Członkom Wolności: ppor. Próchnikowi Adamowi (Halny) za stworzenie i zorganizowanie tejże organizacji z narażeniem własnego życia; chor. Kronowi (Zbych) za systematyczne ujęcie prac organizacji i chwilowe kierownictwo: ppor. Nittmanowi

Tadeuszowi (Michał) za kierownictwo w czasie represji ze strony władz austrjackich: wreszcie ppor. Schleyenowi Kazimierzowi (Sęp) i ppor. Daszyńskiemu (Bitwa) za usilną pracę w werbowaniu ludzi.

Z organizacji niewieściej: p. Helenie Bujwidówncj za wprost olbrzymie usługi, jakie oddała całej organizacji: p. Herburtównej (Niepołomskiej) i p. Janinie Gibowskiej (Wicher) za wytrwałe prace w organizowaniu nowych jednostek.

Wreszcie całej organizacji studenckiej, która nie zawahała się w stanowczej chwili stanąć w szeregach walczących.

3. *Wspomnienia pośmiertne.* Z wybitnych członków organizacji złożyli życie w ofierze dla Ojczyzny: ppor. Battaglia, ppor. Kurdyban, pchor. Kolbuszowski i wielu innych. Wszyscy oni pozostaną na zawsze w pamięci współtowarzyszy, a przez swoją ofiarność zasłużyli się Ojczyźnie. Żegnam ich wszystkich żołnierskiem „Cześć Wam".

4. *Rozwiązanie organizacji.* Rozkazem Naczelnego Wodza P. O. W. została organizacja na obszarze zajętym przez Wojska Polskie rozwiązana i wcielona do szeregów Armji. Ludzie, pozostałość kasowa i sprzęt wojenny zostały już przekazane Armji Polskiej.

5. *Poświadczenia służby* mogą otrzymywać wszyscy członkowie organizacji Okręgu lwowskiego u ppor. Ołowskiego, pl. Smolki 3, II. piętro. Biuro sztabu.

Członkowie Wolności takież same poświadczenia u ppor. dra Próchnika Adama, pod tym samym adresem.

Oddział niewieści u p. Bujwid-Trzebickiej.

6. *Sprawozdania.* W celu złożenia dokładnego sprawozdania z ostatniego okresu czynności, sporządzą wszyscy członkowie komendy raporty sprawozdawcze za okres od 24. 10. do 5. 11. br. i złożą je u adjutanta Okręgu w czasie jak najkrótszym.

Randolf de Laveaux Ludwik, kap. mp., dowódca Okręgu.

Za zgodność: *Tadeusz Ołowski* mp. ppor. i adjutant.

Z. ZYGMUNTOWICZ.

Wojsko austrjackie w walce z P. O. W. we Lwowie 1918 r.

I.

Z Polską Organizacją Wojskową współpracowała organizacja „Wolność", która działała wśród oficerów-Polaków, będących w armji austr. Na czele jej stał ppor. *dr. Adam Próchnik-Halny*, dziś poseł na Sejm.

Z początkiem października 1918 r. władze austr. wojskowe wskutek prowokacji jednego z wywiadowców i nieostrożności jednego z oficerów wpadły na trop tej organizacji i aresztowały ppor. Próchnika i tow.

Przebieg tego zajścia miał się następująco:

W Przemyślu, gdzie stały kadry wojska austr. wielu oficerów-Polaków należało już do tej organizacji „Wolność". Wśród nich por. Kozubski Leon z b. saperów, Cybulski Józef z 45 pp., M. Schwarz z 9 pp. Ci zaś stali w kontakcie z organizacjami w Nowym Sączu, Borysławiu i t. d.

O P. O. W. mówiło się już dość głośno, każdy z wojskowych i niepolaków wiedział o tem, że taka organizacja istnieje, a że potęga Austrji malała z dniem każdym, więc szukano ujścia w org. tajnych, wśród których P. O. W. była najbardziej uznaną za dobrze przygotowaną do działania wojskowego.

Około 4 października 1918 r. sierżant bataljonu zapas. saperów *Leopold Mzik*, Czech ze Śląska Cieszyńskiego, należący do wywiadu austr., podstępnie sprowadził rozmowę o P. O. W. z por. Kozubskim, który zwierzył się przed nim, że chciałby wyjechać do Lwowa, by porozumieć się co do dalszego działania. Nie może ale wyjechać, gdyż bataljon ma ostre pogotowie ze względu na wysoki stan wody na Sanie. Mzik zgłosił gotowość do wyjazdu i jak później zeznał w protokole — uczynił to z gotowością służenia „celowi i sprawie armji austr."

Nieostrożność czy zbyt duże zaufanie do Mzika spowodowało por. Kozubskiego do wyjawienia tak osób jak i celu wyjazdu do Lwowa i polecenia Mzikowi, by zgłosił się we Lwowie u ppor. Adama *Próchnika* w stacji zbornej we Lwowie, zamieszkałego przy Cytadelnej 7, gdzie zgłosi się jako członek P. O. W. w Przemyślu, a następnie zapyta, co się dzieje w Sączu, Sanoku i Samborze, gdyż por. Kozubski nie ma żadnych wiadomości i jest zaniepokojony. Równocześnie donosi przez Mzika — Kozubski, że w Jarosławiu powstanie organizacja w przeciągu kilku dni a też i w Przemyślu będzie

ona w najbliższym tygodniu bardziej czynną. Zapytywał również czy są jakieś komunikaty z Krakowa i co należy czynić w najbliższym czasie. Takie polecenie ustne wydał Mzikowi por. K., który ale nie zgodził się na wydanie jakichkolwiek pisemnych poleceń z obawy przed wsypą, mimo, że Mzik nalegał. Dnia 6 października wyjechał Mzik do Lwowa i tam u ppor. Próchnika, w biurze, w komendzie placu zgłosił się i wykonał rozkaz por. Kozubskiego. Ppor. Próchnik, w zupełnej pewności, że ma przed sobą zaufanego — przekazał por. Kozubskiemu wiele wiadomości, a między innemi, że z Krakowa otrzymał książeczkę „Przyszłość", której narazie nie może jeszcze przesłać.

Broszurkę tę wziął do ręki Mzik i przeglądając szukał drukarni i miejsca wydania, czego jednak nie było. Ppor. Próchnik wyjaśnił, że książeczka ta obejmuje „mobilizację Nr. II", w myśl której należy członków organizować. Na prośbę Mzika, odpisał Próchnik z tej książeczki rozkaz mobilizacyjny gen. Hallera i to oddał Mzikowi dla Kozubskiego. W czasie rozmowy polecił Próchnik, by dalej prowadzić organizację w ten sposób, by ludzie nasi, odchodzący na front, uciekali po drodze, wzgl. na froncie przechodzili na stronę nieprzyjaciela.

Mzik oświadczył, że w 45 pp. ostatnio około 80 ludzi z drogi zdezertowało. Bardzo to ucieszyło Próchnika, który też o drobne szczegóły wypytywał — jak później twierdził Mzik w swojem doniesieniu.

Po powrocie do Przemyśla udał się Mzik do austr. kapitana Weina, któremu wszystko zameldował. Wein zatrzymał odpisy listu i rozkazu mobilizacyjnego i polecił Mzikowi, by por. Kozubskiemu doniósł to, co przekazał Próchnik. U por. K. zastał Mzik chorążego Kmitowicza, którego Kozubski namawiał do organizacji. Ten ale odmówił, gdyż miał zamiar po wojnie nie bawić się dalej w wojsko.

Po wyjściu chorążego, zdał Mzik relację ze swej podróży, poczem zaofiarował jeszcze dwa ręczne granaty, które w domu K. pozostawił.

Po takiem rozwiązaniu sprawy „tajnej" organizacji, został natychmiast ppor. Próchnik we Lwowie aresztowany i osadzony w więzieniu przy Zamarstynowskiej.

Również wydano polecenie aresztowania w Przemyślu Kozubskiego i Cybulskiego.

Dochodzenia przeciwko ppor. Próchnikowi nie zostały dokończone, bowiem w dniu 1 listopada 1918 r. przy rozpoczęciu walk o Lwów — więzienie wojskowe zostało bez nadzoru i więźniowie opuścili je, przyczem ppor. Próchnik stanął natychmiast do walki w oddziałach polskich.

O aresztowaniach, rewizjach, śledztwie i poszukiwaniach we Lwowie napiszemy w następnym zeszycie.

Obóz internowanych i jeńców w Kosaczowie.

(Z) Rządy „zachodnio-ukraińskiej republiki" pozostawiły po sobie, wśród wielu innych, jedną dużą „pamiątkę" w postaci obozu w *Kosaczowie*, gdzie kilka tysięcy młodzieży naszej w czasie 1918-1919 r. przeszło katusze, nieznane w najdawniejszych nawet „niewolach" tatarskich czy mongolskich. Nędza, głód, zimno, choroby, niewygasający tyfus, brak ubrania, butów i koców, brak miejsca i bezwzględność straży i przełożonych — oto obraz z życia i wegetacji naszych najlepszych synów i braci w obozie w Kosaczowie, na przedmieściu pokuckiej stolicy, w Kołomyji się mieszczącym. Kilka baraków letnich, ogrodzonych drutem kolczastym i otoczonych strażą wojskową — oto jeden z największych ale i najsroższych obozów dla polskich jeńców i internowanych w zach. ukr. republice!

Jesteśmy w posiadaniu kilku dokumentów, dotyczących Kosaczowa, i dlatego umieścimy je kolejno bez komentarzy.

Najpierw oddamy głos komendantowi miasta sotnikowi *Halibejowi*, który w doniesieniu do Okr. Komendy wojsk. przedstawił groźny stan obozu, potem umieścimy sprawozdanie Komitetu Pań w Kołomyji, któremu pozostali przy życiu jeńcy zawdzięczają to życie — a wkońcu umieścimy spis zmarłych i pochowanych w Kosaczowie do końca istnienia obozu, t. j. do uwolnienia miasta przez peowiaków w dniu 24 maja 1919 r.

Komend. miasta w piśmie swem do Nr. 914 int. do Okręg. Komendy wojsk. w Kołomyji tak donosi:

Kołomyja, dnia 6 marca 1919 r.

„Proszę przyjąć do wiadomości co następuje: w obozie internowanych i jeńców na Kosaczowie szerzy się znów tyfus plamisty w sposób zatrważający. W szpitalu epidemicznym jest dziś ponad 120 stwierdzonych wypadków, zresztą szpital do tego stopnia przepełniony, że jutro nie będzie można więcej żadnych chorych pomieścić. W szpitalu obozu leży dziś dziewięćdziesięciu chorych, a około 30 takichże w barakach. W szpitalu leżą chorzy na niektórych łóżkach po dwóch, w obozie na gołych pryczach. Dziś w nocy umarło trzech ludzi w samym obozie, co dotąd nie zdarzało się, dwóch w szpitalu obozowym, jeden w naszym baraku. Niema najniezbędniejszych leków dla leczenia chorych, oraz drzewa dla opalania szpitala i baraków. Żywność, jakiej dostarcza wojsko, jest nie-

wystarczająca. Dotąd dawał żywność Komitet Pań Polskich, wydając na to po kilka tysięcy kor. dziennie. Dziś Komitet oznajmił, że fundusze jego są wyczerpane i dalszej pomocy nieść nie może. Ze względu na to, że państwowy komitet powiatowy wzbrania się odebrać obóz, spada odpowiedzialność za obóz i za wszelkie następstwa epidemji nadal na władze wojskowe i dlatego prosiłbym zaprosić na naradę w tej sprawie w jaknajkrótszym czasie, o ile możebne jest dziś wieczór, w okręgowej komendzie wojskowej, następujących panów: Okr. wojsk. komendanta, komend. miasta, komendanta obozu, naczelnego lekarza Dr. Petrusiewicza, lekarza obozu Dr. Bleichera, komend. szpitala epidem. Dr. Losnera, lek. komis. państw. Dr. Kobryńskiego, powiatowego komisarza państwowego.

Halibej".

Zgrozę położenia naszych internowanych bardziej dokładnie i szczegółowo opisuje Komitet Pań w sprawozdaniu swem z dnia 24 czerwca 1919 r., które tak opiewa:

Sprawozdanie
z czynności Komitetu Pań Polek, zawiązanego w Kołomyji w celu niesienia pomocy internowanym Rodakom.

„Polska Organizacja powiatowa w drugiej połowie listopada 1918 r. powołała do pracy Komitet Pań Polek w celu ratowania internowanych Rodaków w Kołomyji.

Praca Komitetu Pań obejmowała:

1) opiekę moralną nad internowanymi i jeńcami Polakami;

2) dostarczanie prowiantów, bielizny i ubrania;

3) uwolnienie internowanych z baraków na Kosaczowie i rozmieszczenie w prywatnych mieszkaniach;

4) urządzenie kuchni w gmachu bursy ludowej dla internowanych tam mieszkających i w prywatnych mieszkaniach;

5) opiekę nad chorymi w szpitalach, o ile do nich dopuszczano;

6) pomoc pieniężną w formie zasiłków, pożyczek i zaliczek.

Pierwsi internowani przybyli z Przemyśla i okolicy, Sambora, Drohobycza, Borysławia, potem z Niżankowiec, Rudek, Stryja, Komarna, ze Lwowa i okolicy jak: Prusy, Sokolniki, Siemianówka, Dawidów i t. d., z Kałusza, Stanisławowa, Bóbrki, Horodenki, Chodorowa, Tyśmienicy i Buczacza; wogóle z całej południowo-wschodniej Galicji, a jeńcy z całej Polski, najwięcej z Królestwa, jak: Warszawa, Łódź, Częstochowa, Kalisz, Lublin i t. d.

Internowani byli początkowo umieszczeni w strażnicy gminnej, w kryminale, w szpitalu przy ul. Kopernika i w barakach na Kosaczowie obok Kołomyji, jeńcy tylko w barakach. Od pierwszej chwili przybycia nieszczęśliwych do Kołomyji starał się Komitet uwolnić Rodaków z baraków i umieścić w prywatnych mieszkaniach, w styczniu urządził pomieszczenie w Bursie ludowej, wieśniaków i robotników umieszczał w okolicznych wsiach, jak: w św. Józefie i w św. Stanisławie. Nie było prawie domu polskiego inteligentnego, który nie miał by u siebie kilku internowanych. Mimo wyniszczenia pięcioletnią wojną, szaloną drożyzną i utrudnieniem życia Polonji przez Rusinów, ofiarność Kołomyjan przechodziła granicę możności; można śmiało powiedzieć, że z zaparciem się samej siebie spieszyła Polonja z pomocą czynną t. j. pracą, mieszkaniem, wiktem, ubraniem i składkami, aby ulżyć doli nieszczęśliwych Rodaków, którzy przybywali do Kołomyji w opłakanym stanie: obdarci z ubrań, zrabowani przez żołnierzy ukraińskich, tracili dokumenty, ostatni grosz wzięty z domu, a przedewszystkiem zdrowie, gdyż łachmany i strzępy z ubrań, a często tylko bielizna nie ukrywały ciała przed przenikliwem zimnem ostrej i długiej zimy. Np. Kowalski, jeniec z Królestwa, przybył do Kołomyji 20. II. 1919 bosy, bez butów, wskutek czego nogi miał popuchnięte z zimna. Niełatwo można było nieść pomoc Rodakom. Do jeńców nie wolno się było zbliżyć, a każda jednostka, przyjmując w dom nieszczęśliwego internowanego, musiała podpisać akt, na mocy którego ręczyła głową za jego postępowanie. Od pierwszej chwili wybitną pomoc w każdym kierunku nieśli dzielni kolejarze w Kołomyji.

Najcięższy los był internowanych w dziesięciu barakach na przedmieściu zwanem Kosaczów. Baraki są to długie budynki drewniane, przez Austrję zbudowane w najgorszej, bo moczarzystej okolicy Kołomyji, gdzie woda tworzyła jedno wielkie bagno. Komunikacja między barakami odbywała się po deptakach, wyżej usypanych. W drewnianych budynkach, na zimę niezaopatrzonych, spędzili nasi bracia 7 ciężkich miesięcy w czasie ostrej zimy przy 15 do 22 stopni R. i bardzo słotnej zimnej wiosny do dnia 24 maja br. to jest do chwili wyzwolenia z ciężkiej niewoli ruskiej. Baraki nie były w zimie opalane, internowani nie mieli żadnego okrycia, leżeli na nagich pryczach, okryci swojemi rzeczami, które do reszty darły się w łachmany, bez bielizny, czego następstwem były ciężkie zakaźne choroby, jak tyfus plamisty, czerwonka, hiszpanka i choroba płuc. Dowodem tego jest pismo komendanta miasta Halibeja do sekretarjatu w Stanisławowie.

Pod pozorem wstrzymania szerzenia się choroby przeprowadzała komenda ukraińska dezynfekcję w ten sposób, że pędzono prawie nagich i bosych internowanych z baraków na Kosaczowie do miasta do kąpieli. Tam trzymano ich na asfaltowej posadzce w zimnie, a rzeczy oddawano do dezynfekcji, następnie jeszcze wilgotne rzeczy od-

dawano internowanym i pędzono ich z powrotem na Kosaczów w czasie ostrych mrozów i zadymek śnieżnych.

Do rozszerzania choroby przyczyniał się nędzny wikt, jaki dawali Rusini: rano ciemną wodę, wygotowaną z kory i liści, w południe zupę z kiszonego arbuza, albo grünzeigu t. j. surowych różnych liści. W zupie tej pływał trzy razy tygodniowo kawałeczek koniny. Wieczór dostawali jeńcy i internowani poraz drugi niesłodzoną wodę, nieokreślonego smaku i koloru. Do tego dawano na osobę co drugi dzień pół bochenka funtowego chleba, a często tygodniami nie dawano go zupełnie. O prawdziwości tego, a więc o niedostateczności wiktu, świadczy dołączone pismo Halibeja. Takie pożywienie i pomieszczenie doprowadziło do zupełnej ruiny zdrowia i olbrzymiej śmiertelności wśród internowanych. Na Kosaczowie umierało 8 do 12 osób dziennie, nie licząc szpitali. W tem przeważnie kwiat młodzieży naszej od 16 do 24 lat, t. j. jeńcy. Na ogólną liczbę 3000 internowanych zmarło 800 do 1000 osób, a w tem 2/10 młodzieży naszej, zwłaszcza żołnierzy polskich. Tych stan był najbardziej opłakany, gdyż wzbraniano księgi szpitala epidemicznego, najwięcej chorowali jeńcy, którzy byli przenoszeni w ciągu choroby 4 razy ze szpitali, a mianowicie: ze szpitala rezerwowego do epidemicznego, w bardzo krótkim czasie do rezerwowego, skąd z powrotem do epidemicznego, gdzie albo umierali albo powracali do rezerwowego. To dowodzi, jak rusini cenili zdrowie i życie Polaków, gdy narażali w czasie ostrej zimy, trwającej w tym roku do połowy kwietnia, na przenoszenie a nawet przeprowadzenie niewyleczonego człowieka bez okrycia, boso, ze szpitala do szpitala albo do baraków, gdzie wycieńczonego czekała śmierć albo choroba poraz drugi. Księgi szpitalne wskazują również, że do szpitala przywożono już tak ciężko chorego, że umierał tego samego dnia, albo na drugi dzień. Komitet interwenjował w tej sprawie u dr. Lösnera, kierownika szpitala epidemicznego, a ten tłumaczył się rozkazem Komendy.

Najzdrowsi internowani byli umieszczeni w domach prywatnych. Aby tych zniszczyć, zabierali ich często Rusini na zarażony Kosaczów na kilka dni, gdzie nabierali się tyfusa, potem puszczali ich z powrotem, następstwem czego było rozszerzenie się tyfusa w domach prywatnych i w Bursie. Z prywatnych mieszkań zabrano internowanych: 1) dnia 30 grudnia 1918, a puszczono z powrotem za staraniem Komitetu po 3 tygodniach; 2) dnia 26 kwietnia br.; 3) raz i ostatni mieli być wszyscy zabrani na zatyfuszony Kosaczów 24 maja br. Paniom z Komitetu, które prosiły Bemkę, zast. komendanta okręgowego, by nie narażał zdrowych na pewną śmierć, odpowiedział tenże: „Na poszczo ich prymajemo na Kosaczowi, szczoby wsi Polaky wizdochały" (Na to trzymamy ich na Kosaczowie, aby wszyscy Polacy wyzdychali). Wkroczenie Rumunów uwolniło resztę zdrowych od zarażenia. W celu ulżenia niedoli nieszczęśliwych braci, spieszył Komitet z pomocą w każdym kierunku. Od pierwszej chwili przybycia internowanych do Kołomyji zajęły się członkinie Komitetu gotowaniem pożywienia po domach prywatnych, potem w domu przy ul. Kopernika, wkońcu urządził Komitet kuchnię w Bursie ludowej, gdzie byli umieszczeni internowani. Szczególną opieką otoczył Komitet internowanych i jeńców na Kosaczowie. Członkinie Komitetu rozebrały dyżury i wśród mrozu i zawieji śnieżnej spieszyły na Kosaczów, nosząc i wożąc codziennie ziemniaki, mamałygę, tłuszcze, chleb, kaszę i t. d. co kosztowało dziennie kilka tysięcy koron, jak dowodzi pismo komendanta miasta Halibeja. Komenda ruska nie pozwoliła gotować na miejscu, zatem prowianty dowożone musiały być oddawane do wspólnej kuchni, która początkowo była prowadzona przez Rusinów, a w lutym pozwolono gotować samym internowanym. Pomoc Komitetu nie mogła zupełnie wystarczyć, gdyż komenda ruska utrudniała przywozu prowiantów, odmawiała przepustek, a przywiezione zboże i prowianty rekwirowała i kazała płacić karę. Z tego powodu musiał Komitet kupować prowianty po wygórowanych cenach od paskarzy. Paniom z Komitetu nie wolno było kontrolować rozdawania pożywienia w kuchni barakowej, dlatego się zakradły nadużycia i pomoc niesiona z serca nie była skuteczną. Następstwem tego był głód, który niszczył resztki zdrowia i zmuszał zrozpaczonych szukać ratunku w ucieczce. Za czyn ten karano surowo wszystkich internowanych i jeńców w nieludzki sposób, gdyż nie dopuszczano po kilka dni dowożenia prowiantów przez Komitet. Od dnia 22. 3. do dnia 26. 3. trzy razy zabroniono dowozu, każdym razem po 4 dni. Najboleśniejszym był fakt, że drugiego dnia świąt wielkanocnych zwrócono furę z prowiantami, wysłaną przez Komitet.

Ponieważ choroby szerzyły się na Kosaczowie w zatrważający sposób, a chorzy nie mieli opieki lekarskiej, uprosił Komitet pozwolenie utworzenia w lutym szpitala na Kosaczowie. Początkowo byli chorzy pod opieką lekarza Hammera, później Bleichera (żydów), którzy o nich zupełnie nie dbali, wkońcu pozwolili otoczyć ich opieką serdeczną, ojcowską przez Dra Tadeusza Milewskiego, prezesa T. S. L. w Kołomyji. Wdzięczność internowanych objawiała się w gorącej czci i uznaniu dla dobroci i zacności Dra Milewskiego, który spędzał 4 do 5 godzin dziennie na Kosaczowie. On osłodził niejednemu Rodakowi cierpienie dobrem słowem, osuszył piekącą łzę niewinnego niewolnika, zamknął oczy żegnającemu świat bohaterowi z pod Gródka i Lwowa. Cześć mu za jego pracę godną Polaka-Obywatela. Wielkie zasługi dla in-

ternowanych i jeńców położył ks. Rejowicz z zakonu OO. Jezuitów, również internowany z Chyrowa. On niósł na Kąsaczów pociechę religijną, dźwigał ducha błogosławiąc Prześw. Sakramentem; po mszy świętej, którą odprawiał bardzo często na Kosaczowie i w szpitalach, pocieszał serca nadzieją bliskiego wybawienia z niewoli w słowach ciepłych, serdecznych, któremi tak często zwracał się do nieszczęśliwych nędzarzy, męczonych głodem, brudem i zimnem, porwanych z gniazda rodzinnego bez żadnej winy, oddzielonych od Ojczyzny brutalną pięścią, zamkniętych w bagnie drutami kolczastymi. O. Rejowicz wskazywał im tego, który z jasnego nieba patrzył na ich nędzę i w swej sprawiedliwości przygotował dla nich najdroższą nagrodę: Wolną, potężną, świętą Ojczyznę. Myśl i serca tych najbiedniejszych, zwłaszcza kwiatu naszego narodu — młodzieży zacnej, która rzuciła rodzinę, książkę, karjerę, strzechę rodzinną, oderwała się od ukochanej roli i warstatu, a szła na głos Ojczyzny z bronią w ręku do otwartej walki o całość ziemi polskiej i wolność braci hen na kresy, rwała się do czynu, do pracy, tęskniła do ukochanych, do powstającej do życia Rzeczypospolitej Polskiej, a musiała spędzać długie miesiące bezczynnie w brutalnej niewoli, gdzie nie uszanowano nawet godności człowieka, a zabrano życie setkom najniewinniejszych. Męki ich nikt nie jest w możności określić słowami.

Urządzeniem i utrzymaniem szpitala na Kosaczowie zajął się Komitet, władze ruskie nie dostarczały niczego, tylko skąpo chleba. O tem przekonała się misja szwajcarska, bawiąca w Kołomyji 20. III. 1919 r. Przed przybyciem tej misji jak i innych, robiono gwałtownie porządki na Kosaczowie, rozdawano bieliznę i koce, które potem odbierano, a nawet rozrzucano chleb w tym jednym dniu.

Równocześnie założył Komitet szpitalik w Bursie ludowej i utrzymywał swoim kosztem. W innych szpitalach czuwały członkinie Komitetu i pomagały chorym, nosząc codziennie mleko, jaja kompoty, wino, lekarstwa. Wszędzie odmawiała komenda ruska pomocy w aprowizowaniu, w dostarczaniu lekarstw, mimo że po ustąpieniu rusinów pozostały olbrzymie zapasy prowiantów, bielizny, ubrań, które motłoch rozkradł. Ofiarami pracy są członkinie Komitetu, z których 4 przechorowały się ciężko na tyfus plamisty, a jedna zmarła. Pracę Komitetu utrudniała komenda ruska na każdym kroku, stąd trudno zbadać, ilu internowanych było rzeczywiście chorych, a ilu umarło. Po wielkich staraniach i zabiegach udało się Komitetowi po 24 maja ułożyć imienny spis zmarłych, ale tylko w liczbie 550, chociaż zmarło blizko 1000. Nie można zbadać jaki jest prawdziwy stan, ponieważ w gminie, w biurze sanitarnem, nie prowadzono ewidencji zmarłych internowanych i jeńców. Lekarz miejski nie przeprowadzał oględzin zwłok, również na cmentarzu brak tejże, a do parafji rz. kat. rzadko dawano znać o zmarłym. Tylko w szpitalu epidemicznym są zapiski, w innych szpitalach brak aktów, a w istniejącym jeszcze szpitalu ruskim p. t.: „Ukraińskaja Łecznycia" są zapiski bardzo nieliczne. Komitet korzystał z każdego źródła gdyż obecnie pozwolono nam zajrzeć do ksiąg ruskich, jednak całości wykazu zmarłych nie można zestawić, ponieważ niedbalstwo Rusinów i chęć utajenia olbrzymiego procentu zmarłych nie pozwalała na to. Na cmentarzu widzimy mogiły bez krzyżów i mogiły wielkie, a na nich napis: „Tu leży 70 internowanych nieznanego nazwiska", albo: „Tu leżą internowani nieznanego nazwiska". Napisy te umieszczał ołówkiem internowany, mający polecenie od władz ruskich grzebienia zmarłych. Gdy jeden umarł, robił to samo drugi, więc nawet ich wybadać nie można. Komitet boleje bardzo nad barbarzyństwem słowian-rusinów, którzy nie liczą się z uczuciami biednej rodziny zmarłego, tak pragnącej wiedzieć, gdzie leżą zwłoki ukochanego. W kostnicy leżały zwłoki po 17 do 20 razem. Nagie, wynędzniałe, obite często jeszcze z płynącą krwią z ust. Tak w XX wieku obchodzili się Słowianie ze Słowianinem. Nieraz grzebano zwłoki w kilka godzin po śmierci, jak Józefa Grzybowskiego, legjonisty z Częstochowy, zmarłego 27. III., a pogrzebanego w 4 godziny po śmierci. Ponieważ krzyże były często wyciągane i przenoszone, dojść kto leży w grobie nie można. Dlatego postanawia Komitet zebrać składki z całej Polski i wystawić wspólny nagrobek wszystkim męczennikom z wykazem ich nazwisk.

W przeciągu 7 miesięcy zostawało pod opieką Komitetu przeciętnie po 2000 do 2.500 Polaków. Ogólna liczba wynosi 3.000 osób. Na utrzymanie ich czerpał Komitet fundusze z różnych źródeł, jak: składki, dary, subwencje i pożyczki. Szczegółowy wykaz dochodów i rozchodów dostarczy sprawozdanie kasowe. Największą pomoc materjalną otrzymał Komitet w styczniu z Komisji Likwidacyjnej, to jest 200.000 koron, od Pań Czerwonego Krzyża ze Lwowa 30.000 koron, z Czerw. Krzyża ze Stanisławowa, oraz pożyczkę z Borysławia 20.000 koron, z Sambora 46.000 koron, ze Stanisławowa 125.000 kor., z Polskiej Organizacji Powiatowej w Kołomyji 48.000 kor., od Pani Miziewiczowej 50.000 kor., oraz drobniejsze kwoty, pochodzące ze składek w miastach: Samborze, Drohobyczu, Kałuszu, Stanisławowie, Kosowie, Chodorowie i Horodence.

Od listopada 1918 r. do 21. III. br. przewodniczącą Komitetu była p. Leokadja Miziewiczowa, która w tym dniu razem ze skarbniczką p. Zofją Niewiadomską oraz członkiniami Komitetu p. Bronisławą Ludwigową i p. Stanisławą Sozańską zo-

stała aresztowana przez władze ruskie. Od 24. III. do 30. IV. przewodniczącą była p. Zofja Gończarczykowa, od 5. V. do końca pracy Komitetu jest p. Kazim. Małczyńska.

Komitet starał się ulżyć pobyt internowanych w Kołomyji również w ten sposób, że udzielał zapomóg i pożyczek, a raz w ciągu 7 miesięcznej niewoli dał z funduszów, które otrzymał z Kom. Likwid. z Krakowa, urzędnikom, kolejarzom i nauczycielom internowanym zaliczkę w wysokości jednomiesięcznej płacy, według wykazu, który każdy własnoręcznie podpisał. Pracę Komitetu ułatwiał p. Ludwik Hartfelder, nauczyciel T. S. L. w Przemyślu. On był łącznikiem między Komitetem a internowanymi na Kosaczowie, dokąd nikt z Komitetu nie miał przystępu. Panie odwoziły prowianty na Kosaczów, ale tylko do drutów kolczastych, pan Hartfelder wchodził do baraków, szpitala i kuchni, dopytywał się o potrzeby, przedstawiał na posiedzeniach Komitetu i odnosił ubrania, bieliznę, prowianty, tytoń i pieniądze dla internowanych. Pracownik ten spełniał swój obowiązek obywatelski sumiennie i gorliwie, nie szczędząc pracy i trudu, narażając się na rewizje, nie zważając na zaraźliwe choroby, których mógł paść ofiarą. On był pocieszycielem nieszczęśliwych internowanych i jeńców, ich orędownikiem w Komitecie. Sam, jako internowany, nie korzystał zupełnie z funduszów Komitetu, ale utrzymywał się przez 6 miesięcy z pożyczek, które w wysokości kilku tysięcy zaciągnął u osób prywatnych. To też nagrodą jego pełnej poświęcenia pracy było uznanie Komitetu i zaufanie wszystkich więzionych Rodaków w Kołomyji. On odnosił na Kosaczów pocztę i przesyłki pieniężne, których ewidencję wzorowo prowadził Komitet w książce jako dokument. Wypłacać poszczególne przesyłki rodzin internowanym i jeńcom było bardzo trudno, gdyż poczta ukraińska wypłacała tylko banknotami po 1000 hrywien, których rozmieniać nie można było z braku drobnych banknotów hrywien, a koron nikt nie chciał dać za hrywny. Szykany ruskie objawiły się w tym kierunku, że Komitet musiał dopłacać koronami do 1000 hrywien, jeżeli kilka przesyłek razem wynosiły mniejszą kwotę.

Komitet nie zapomniał o tradycji Świąt Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy. W domu przy ul. Kopernika urządził skromną wilję dnia 24. 12. 1918 r. Na Kosaczowie, dokąd wieczorem wstęp był wzbroniony, otrzymali internowani i jeńcy smacznie przyrządzone kiszki, kiełbasy, słoninę, wędzonkę i chleb. W sobotę wielką, t. j. 19. 4. br. odprawił O. Rejowicz bardzo uroczyście rezurekcję na Kosaczowie, za specjalnem pozwoleniem. O godzinie 5 i pół na obszernem miejscu między barakami ustawili się internowani i jeńcy w czworobok. Po środku stały dwa stoły: jeden zapełniony prowiantami do święcenia; ułożone były: chleby, bułki, jaja i kiełbasy; drugi stół służył jako ołtarz. Niezapomniany widok przedstawiał się oczom pań z Komitetu. Pod czystem lazurem chyliła się kornie głowy nieszczęśliwych w błagalnej modlitwie do Ojca i Pocieszyciela w niebiosach, który utajony w Najświętszym Sakramencie, zbliża się do tułaczy, błogosławi im, pociesza w niedoli, budzi nadzieję lepszej przyszłości: Zmartwychwstanie dobra i sprawiedliwości dla nas. W czasie błogosławieństwa i poświęcenia darów, a pokropienia osób, łzy zabłysły w oczach obecnych, bo jedna myśl nas złączyła: Szczera modlitwa do Pana nad Pany, by na nas wejrzał i zbliżył wybawienie. Po skończonem nabożeństwie rozdały panie dary internowanym. Każdy dostał: bochenek chleba, jedno jajko, kawałek kiełbasy, kawałek ciemnej i jasnej bułki i po dwa papierosy. Równocześnie w tym samym dniu wysłano to samo święcone do wszystkich szpitali i miejsc, gdzie przebywali jeńcy lub internowani; nie pominięto ani jednego z Rodaków. W niedzielę 24 br. o godzinie 12 w południe, na pięknie przebranym stole, w sali przystrojonej zielenią ułożono święcone, a święcenie dokonał ks. internowany z okolic Bóbrki. Bursacy i internowani z miasta otrzymali to samo, co wszyscy na Kosaczowie.

Czas od Wielkiej Nocy do 24. 5. br. to jest do chwili wybawienia, był okresem najcięższych chwil, bo niepewności i większego jeszcze znęcania się wroga. Z mieszkań prywatnych i z Bursy zabierano garstkę uratowanej młodzieży i przenoszono na Kosaczów, gdzie ginęła z tyfusu i czerwonki. Położenie Komitetu było coraz cięższe, bo wyczerpały się fundusze w miesiącu, w którym ceny prowiantów były najwyższe, np. cetnar mąki kukurudzianej po 1.800 koron, a trudności zdobycia środków spożywczych były wprost nie do pokonania.

Do tego władze ruskie, nie pozwalały się porozumieć ze Stanisławowem w celu zaciągnięcia pożyczki na dalsze wyżywienie intern. Banki w Kołomyji nie mogły użyczyć pożyczek wskutek zakazu władz wojskowych ruskich. Dni te najcięższe dla Polonji miały, jak świadczą akta ruskie, skończyć się „wywleczeniem" 24. 5. br. członków Pow. Organizacji Polskiej i Komitetu Pań z Kołomyji daleko w nieznane okolice. Tymczasem dzień 24. 5. był dniem wolności. Po oswobodzeniu Kołomyji z długiej ciężkiej niewoli, zebrał się Komitet Pań w salach Tow. Szkoły Ludowej, by zastanowić się w jaki sposób utrzymać jeszcze krótki czas nieszczęśliwych Rodaków. Dusze wypełniała radość uwolnienia Polonji od szpiegostwa i prześladowania, a serca przejmował ból na widok nędzarzy internowanych, bosych, brudnych, obdartych, których sprowadzono do Kołomyji w rozkwicie zdrowia, ubranych, sytych, a zniszczono im zdrowie, trzymając w brudnych barakach o głodzie i chło-

dzie. Sprowadzeni z różnych okolic Polski przeżywali męki Tantala, marniejąc z głodu stopniowo, aż ciała ich zamieniły się w prawdziwe szkielety. Ofiarą padło kilka setek osób, a reszta dogorywała i straszyła swym wyglądem każdego człowieka. Te ofiary zobaczyli Kołomyjanie po raz pierwszy na rynku i ulicach miasta, 24. 5. br., gdy po gwałtownej ucieczce ruskiego wojska oswobodzeni internowani wyszli z za drutów kolczastych z piekła niewoli. Oprócz chorych po szpitalach, przywlokło się około 1000 ofiar do miasta, gdzie rozmieszczono ich po szkołach i w Bursie. Na razie żywiła Bursa wszystkich internowanych, następnie dzielni kolejarze przyszli z czynną pomocą i zajęli się gotowaniem pożywienia w szpitalu przy ul. Bańkowskiego, w szkole im. Tad. Kościuszki, potem w szpitalu Powszechnym, dając oprócz pracy wszystkie potrzebne artykuły spożywcze do dnia 16. 6. br., to jest do czasu przybycia z pomocą Polonji z Czerniowiec. W czasie całej inwazji ruskiej ułatwiali kolejarze Komitetowi w zakupnie chleba i mąki po bardzo niskich cenach.

Po uwolnieniu Kołomyji otrzymał Komitet z rąk Gduli, ruskiego komendanta Kosaczowa, 40.000 hrywien, przeznaczonych przez rząd ruski na pensję dla internowanych. Komitet wysłał tę kwotę przez księdza rektora Sawickiego, Jezuitę z Chyrowa, do Rządu Polskiego z następujących powodów:

1) Hrywien nie chciał nikt rozmieniać; 2) dla wszystkich internowanych nie wystarczała ta kwota, gdyż według słów Gduli brakowało jemu 80.000 hrywien na wypłacenie pensji tylko internowanym na Kosaczowie. Komitet nie mógł robić różnicy między przebywającymi na Kosaczowie a innymi w szpitalach i na prywatnych mieszkaniach, dlatego oddał tę kwotę do rozporządzenia Rządowi Polskiemu.

Dalsza praca Komitetu skierowana była w dwu dążeniach: 1) wysyłać zdrowych internowanych jaknajprędzej do domu; 2) urządzić szpitale dla wycieńczonych głodem i chorobami.

1. Zdrowych i uzdrowieńców, zdolnych odbyć podróż, wysłał Komitet w czterech transportach t. j. 31 maja br. 606 osób, 8. czerwca br. 379 osób, 12 czerwca br. 60 osób, pociągiem sanitarnym, t. j. czwartym transportem wyjedzie 83 osoby — zostaną tylko ciężko chorzy w szpitalu epidemicznym.

Każdy otrzymał na drogę po 20 koron, chleb, kiełbasę albo słoninę. Kilkanaście setek internowanych wysłała komenda ruska w ciągu marca i kwietnia w kilku transportach.

2. Urządzenie szpitala napotykało na wielkie trudności z powodu braku bielizny, niemożności przeniesienia chorych i wskutek kierownictwa szpitalami przez Rusinów. Z wkroczeniem Rumunów do Kołomyji dnia 26. 5. zaczęły się szykany ruskie i prześladowania Polaków w szpitalach. Ciężko chorym dawano na pierwszą djetę kiszoną kapustę i popsutą fasolę (w lecznicy ukraińskiej, umieszczonej w gimnazjum), obrzucając ich przykremi słowami.

Po długich pertraktacjach z lekarzami rumuńskimi i komendą, udało się Komitetowi uzyskać pomieszczenie chorych z Kosaczowa i szpitali ruskich w trzech miejscach: w szpitalu przy ul. Kopernika, w szpitalu Powszechnym i w szpitalu epidemicznym.

Wkońcu przybył do Kołomyji Dr. Krzemiński jako delegat Polskiego Czerwonego Krzyża. Po konferencji z dr. rumuńskim i oględzinach w budynkach szpitalnych, uzyskano szpital epidemiczny i połowę szpitala powszechnego na umieszczenie i urządzenie szpitala polskiego Czerw. Krzyża od 1 lipca 1919 r.

Pod koniec pracy Komitetu przybył z pomocą wydatną a szybką polski Komitet z Czerniowiec. Dnia 6 czerwca wysłał delegację do Kołomyji, a 16 czerwca br. nadesłał z Czerniowiec dary t. j. prowianty wartości 25.000 koron. Delegacja Komitetu zwiedziła szpitale, a chociaż męczennicy byli już przez trzy tygodnie odżywieni, zrobili na delegacji bolesne wrażenie, którego wyrazem jest notatka w „Głosie Ludu" z dnia 22. 6. br. umieszczana, p. t. „Dla Męczenników Polskich".

Dnia 16. 6. br. spotkała Komitet druga miła niespodzianka. Pan ppor. Stanisław Rządkowski z armji gen. Żeligowskiego przywiózł dla internowanych wagon prowiantów od misji amerykańskiej, bawiącej w Bukareszcie. Cześć zacnym sercom Rodaków z Czerniowiec, tak chętnie spieszącym z pomocą niedoli. Cześć dzielnym Amerykanom, pamiętającym o cierpiącej ludzkości.

Z wysyłką ostatniego transportu zostają tylko chorzy w epidemicznym szpitalu. Komitet Pań kończy swą 8-miesięczną pracę z tem przekonaniem, że spełnił swój obowiązek obywatelski sumiennie według najlepszej chęci, chociaż nie zawsze tak, jak by z serca pragnął, wskutek piętrzących się trudności.

W Kołomyji, dnia 24 czerwca 1919 r.

Komitet Pań Polek:

Antonina Łuczyńska, sekr. Małczyńska, przew.

Modesta Germańska, Zofja Niewiadomska, Stanisława Sozańska, Marta Kolbuszowska, Stanisława Łaczykowa, Jadwiga Łuczyńska, Olga Klimkiewicz Litkiewiczówna, Witalina Żukowska, Michalina Dwernicka, Leokadja Miziewiczowa, Zofja Gończarczykowa, Helena Dobruda, Sydonja Żaczkowa, Bogumila Gogielowa, Jadwiga Sweizerówna, Zofja Łopatkowa, Gertruda Mannówna, Marja Sawkiewiczowa.

RAFAŁ HIRSCH
weteran 1863 r.

Wspomnienia z 1863 r.

II.

Pochód dalszy w tym stanie oddziału był wykluczony, więc — postój, ogniska, obsuszenie się i posiłek. Lecz tak zwani „łaziki" ściągali się prawie do samego świtu, a wtedy pokazało się, że jest brak i ubytek wszystkiego, a to w ludziach, koniach i jadle.

A tam w obozie z powodu nagłego wymarszu i braku taborów pozostawiono zapasy i to: kilkadziesiąt beczułek piwa, do dziesięć wozów chleba i nie mało słoniny, kupami siana i workami owsa dla koni.

Wykurzyli nas austrjacy, którzy zajechali wozami i zabrali wszystkie zapasy.

Ze świtem oddział maszerował żółwim krokiem — ludzie w obuwiach i odzieży mokrej, pościerali nogi, karabiny ciążyły; konie pod wielu jeźdzcami do krwi odsadnione — nocą bowiem ułani pogubili kocy z pod niepolstrowanych „terlic" siodeł.

Wschód słońca pięknym rankiem ożywił ducha dziarskiej młodzieży, chórem wesołe śpiewki poniosło leśne echo hen daleko:

„A kto chce wolności użyć,
Niechaj idzie do nas służyć,
Tam dostanie mundur nowy
A na mundur liść dębowy"

i t. d.

Około dwadzieściasześć klm. oddalonej z miejsca zboru drogi ciągnęliśmy się pod Radziwiłłów do jedenastej godz. przed południem, t. j. od 5-tej godz. popołudniu — to znaczy, że przebycie 26 klm. drogi zabrało czasu 18 godzin.

O tej godzinie przedpołudniem stanęliśmy w lesie pod Radziwiłłowem. Cisza zaległa w naszym obozie. Szepty ciche, bicie serc głośne.

Od strony przedmieścia Lewiatyna — przez bagna prowadzi jedna grobla i most do miasta. Rozesłane rekonesansy — powracają; jeden z nich zdobywa bez utarczki i strzału spłoszonych koni 20 rosyjskich dragonów bez jeźdzców i coś pięciu sałdatów — pierwsze trofea wojenne. Atak na miasto się rozpoczyna, pierwsze najdzielniejsze kompanje celnych strzelców naszych idą do ataku już grupami i zbliżają się do przyczółka mostowego z karabinami u ramienia. Jeszcze nie wtargnęli do połowy mostu, jak salwy karabinów rosyjskich gęstym ogniem przywitały naszych.

Skłębiła się wiara, lecz tylni za niemi następują z okrzykiem: „Naprzód wiara! ładuj! ognia!". I trzask karabinów naszych kompanji nikły, patrony czyli naboje wilgotne z deszczu, moskale gęstym ogniem rażą naszych. Kłębią się nasi, ale nie cofają się. Wysłanych w sukurs około 150-ciu kosynierów dodało odwagę — biegiem nasi z kosami walą przez most. Lecz mostu nie dało się sforsować. Około 200 naszych ubitych zaległo pokład mostu, tyleż rannych zabrano z pola tej godzinnej walki — a zatem: rozsypka i odwrót naszych, a ścigani, rozbili się po takiej klęsce na wsze strony w popłochu. Moskale, wyparłszy nas za Lewiatyn, bali się nas dalej ukrytych w lesie atakować.

Batalja skończona. Generał Wysocki zdał komendę podwładnym, nie pożegnawszy się z nami. Brody miasto leży w oddalonej równinie, trochę polami, trochę lasami z pięć klm. drogi od Radziwiłłowa.

Ludzie w rozsypce, znękani, padali ze zmęczenia. Jednak zadokumentowaliśmy ruch zbrojny polski na Rusi.

Do Brodów ściągnięto podwodami około 200 powstańców rannych, między tymi i szefa sztabu, ulubionego przez wszystkich, ciężko rannego dwoma kulami w brzuch śp. Domagalskiego. Zmarł w trzy dni potem w Brodach, jak i wielu jemu podobnych, a wszyscy pochowani bądź „imiennie", bądź „nieimiennie" na cmentarzu w Brodach. Trumnę ze zwłokami śp. szefa Domagalskiego niesiono na barach, w czem i ja udział brałem i trumnę nosiłem,

Po kampanji pod Radziwiłłowem salwował się każdy od pościgu w pojedynkę i w towarzystwie, byle stanąć jeszcze zdrową głową w kraju. Ja zgrupowałem kilkunastu konnych towarzyszy i już w kraju znanemi mi szlakami przyprowadziłem ich do domu moich rodziców. Nakarmionych i odpoczętych — rozesłano bądź do ich domostw, bądź, skoro byli z Wielkopolski albo z Królestwa, po okolicznych dworach i dworkach na zakwaterowanie. I tu trzeba się było przemykać i mieć na baczności; zorganizowana bowiem żandarmerja i wojsko austrjaków zbiedzonych powstańców wyławiali i przetrzymywali.

W dwa dni po kampanji Radziwiłłowskiej przyszło do domu rodziców moich dwóch powstańców. Obydwaj znajomi nasi: Machnowski Marjan i Sanojca, Dominikanin z klasztoru w Podkamieniu ppod Brodami.

Opowiadali oni nam, że gdy stanęliśmy pod Radziwiłłowem w komplecie rano o 9 godz. i mieliśmy albo zastać gen. Wysockiego, albo mieliśmy czekać, moskale spostrzegli nas zbliżających się i wysłali przeciwko nam silny zastęp piechoty. Płk. Horodyński, jako dowódca oddziału, rozkazał wystąpić naszym strzelcom. Po niedługo trwałej strzelaninie mochy opuszczają pole biegiem.

mkną do swoich do miasta, a — by sobie ulżyć — rzucają broń i tornistry za sobą. Odkomenderowana kawalerja nasza ze zdobytymi pałaszami wali za uciekającymi, piechota nasza również biegiem. — wtem kobieta klęcząca za płotem, woła do nas: „nie pakujcie się do miasta, stójcie panowie, moskale zasadzkę urządzili na was, obsadzili domy, dachy i kamienice z strzelcami finlandzkimi, wymordują was". Lecz Horodyński, czy nie usłyszał, czy też słyszeć nie chciał — machnął szablą z donośnym rozkazem: „naprzód chłopcy! naprzód!". I tak dotarliśmy aż do rynku z naszym dowódcą na czele: naraz za salwą pierwszą, gruchnęły salwy ze świstem kul rzęsiście z dachów, z okien domów i kamienic — wzięto nas ze wszystkich stron w ogień krzyżowy. Horodyński ugodzony kulami, legł wraz z koniem, tak samo i wielu naszych, nie było się nawet i czasu bronić — więc resztę naszych zdaje się i do jednego wytłowili.

„Ja — powiada por. Machnowski — ze Sanojcą cofnęliśmy się szczęśliwie czy nieszczęśliwie przez most i z grobli rzuciliśmy się w bagna i sitowie.

Dzień cały przesiedzieliśmy w bagnach. Ja zapadłem tak, że sam wydobyć się nie mogłem; Dominikanin Sanojca — chłop silny — wydobył kawał żerdzi i z bagna mnie wyciągnął".

Tyle z wyprawy naszej na Radziwiłłów.

(C. d. n.)

JAN STAROŚCIAK.

Z Dywizją Polską na Syberji.

Około godziny pierwszej dnia następnego dostaliśmy rozkaz posuwania się naprzód. Na widnokręgu pojawiły się olbrzymie tumany kurzu, które znamionowały o posuwaniu się jakichś oddziałów. Kawalerja nasza, wysłana na zwiady, oznajmiła po powrocie o zbliżaniu się wielkich mas z powrotem uchodzącej ludności wiejskiej, która przed strachem wojny i pożogi opuszcza swoje siedziby. Nieszczęśliwi wieśniacy, porzuciwszy swe spokojne sadyby, ciągnęli olbrzymim taborem w naszą stronę, wioząc ze sobą cały swój ruchomy inwentarz. Mężczyźni, po największej części starcy i nieletni chłopcy, szli pieszo obok swych zaprzęgów, na których znajdowały się ich żony i dzieci, siedzące formalnie na górach przeróżnego rodzaju sprzętów, pościeli i produktów. Dola polskiego chłopa, aczkolwiek zawsze ciężka, dawała tutaj wyraz w całej pełni. Dowódcy nasi podeszli ku nim, pytając skąd zdążają oraz o siłach wojsk rosyjskich. Oczywiście udzielone informacje były chaotyczne i niejasne, gdyż ludzi tych obchodził ich własny los, nie jakieś wojsko. Opowiadali, że rosjanie kazali im się wynosić dokąd chcą, ponieważ ich zagrody pójdą na pastwę płomieni. Rozmawiając z nami, okazywali wielkie zdziwienie, że rozumiemy ich język, gdyż według ich punktu widzenia — austrjacy mogli znać każdą mowę, lecz nie polską.

Tymczasem artylerja rosyjska, zobaczywszy ciemne posuwające się masy, w przekonaniu, że jest to obóz austrjacki, poczęła silnie ostrzeliwać naszych nieszczęśliwych sąsiadów. Pękające nad ich głowami szrapnele, czyniły straszliwe spustoszenia i popłoch. Ludzie ci pod wpływem grożącej zagłady poczęli formalnie szaleć, zbijając się w bezładne kupy lub też rozbiegając się na wszystkie strony. Tabor ich, posuwający się dotychczas we względnym porządku, przedstawiał przerażający obraz zniszczenia. Droga cała pokryta była drgającemi ciałami zabitych i rannych — pękające prócz szrapneli granaty rozrywały ciała na części, ścieląc bezkształtnymi członkami ziemię.

Jedna kobieta z niemowlęciem na ręku oderwała się od tej masy i z oczyma obłąkanemi z przerażenia, z przeraźliwym piskiem poczęła uciekać w pole, jednakże nieubłagana śmierć zawróciła ją z drogi. Dokoła kobiety powstał dym, następnie tuman kurzu, a gdy wiatr rozwiał te dwa zwiastuny śmierci — oczom naszym ukazały się ich ciała poszarpane przez pocisk armatni.

Posuwaliśmy się ale naprzód. W oddali słychać było gęste strzały karabinowe, zwiastujące o wielkiej bitwie naszej pierwszej dywizji z nieprzyjacielem. Gdy znajdowaliśmy się w oddaleniu od naszych pozycji o jakie trzysta kroków, zostaliśmy zauważeni przez nieprzyjaciela, który przywitał nas ogniem dział i karabinów. Nie zważając na to, biegliśmy rozsypani w tyraljerę, ścieląc gęsto trupami i rannymi przebytą drogę.

Zajęte przez nasze wojska pozycje były o wiele gorsze od pozycji przeciwnika, ponieważ leżeliśmy jedynie na ziemi pozbawieni jakiejkolwiek osłony, podczas gdy nieprzyjaciel był doskonale okopany. Odległość między nami a linją nieprzyjaciela nie przekraczała czterystu kroków, to też trupy po naszej stronie padały gęsto. Piekielna ta wymiana kul trwała do wieczora i dopiero gęsty mrok położył jej koniec. Z nastaniem nocy, z zachowaniem milczenia zaczęliśmy się wycofywać celem obsadzenia dogodniejszej pozycji, a także w celu uniemożliwienia ewentualnego napadu ze strony nieprzyjaciela. Opuszczenie pola bitwy na noc miało jeszcze ten cel, że pozwalało stronom walczącym na zbieranie i opatrywanie swych rannych i grzebanie poległych.

Mając nieprzyjaciela bliżko i nie wiedząc o je-

go zamiarach, podtrzymywaliśmy stale lekki ogień karabinowy, dając tem samem dowód naszego czuwania. Około godziny trzeciej po północy, nasze patrole, wysyłane stale na zwiady, natknęły się na linję nieprzyjacielską, posuwającą się ku naszym pozycjom. Z początku wywiązała się słaba strzelanina patroli, później straży przednich, która potęgując się stopniowo przemieniła potyczkę w walną bitwę, wciągając w wir walki obie strony walczące. Artylerja nasza, która poprzednio zajęła dogodne pozycje, zasypywała teraz huraganowym ogniem tyły nieprzyjaciela, paraliżując ruchy jego rezerwy. Po dwugodzinnej bitwie, wyparliśmy przeciwnika, zajmując tegoż okopy. Nie zatrzymując się, ruszyliśmy niezwłocznie w ślad za uchodzącym nieprzyjacielem. Po przeforsowaniu kilku kilometrów, oparliśmy się o nowe pozycje rosyjskie, znajdujące się już pod Białogrodem. Przywitani siarczystym ogniem, rozwinęliśmy momentalnie linję, dając należyty opór. Kilkugodzinna wymiana strzałów z obu stron, połączona z poważnemi stratami, posunęła nas ku linji nieprzyjacielskiej o trzysta do czterysta kroków. Trupy po naszej stronie padały gęsto niczem zboże koszone pracowitą ręką żniwiarza. Po naszych szeregach przeszedł rozkaz podawany z ust do ust „bagnet na broń". W niespełna pięciu minut ruszyliśmy do ataku na bagnety. Z ust tysiąca piersi zagrzmiało przeraźliwe i groźne „hurra!" zagłuszając na chwilę odgłosy strzałów. Dzielące nas trzysta kroków przebiegliśmy, uderzając z brawurą na nieprzyjaciela. Gromkie „hurra" umilkło, zastąpione szczękiem oręża, wrzaskiem obłąkanych głosów, jękiem rannych i charczeniem konających. Każdemu niemal pchnięciu i uderzeniu towarzyszył przeraźliwy krzyk, różnojęzyczne przekleństwa, bulgotanie uchodzącej z ciał ludzkich krwi. Wysunięty na prawe skrzydło, parłem naprzód w otoczeniu kilku moich żołnierzy na przeważające siły nieprzyjaciela. Przy starciu się zostaliśmy niezwłocznie ze wszech stron otoczeni, lecz kłując i bijąc kolbami na wsze strony zdołaliśmy rozluźnić zaciskający nas pierścień. Naprzeciw mnie wysunął się żołnierz rosyjski olbrzymiej postawy, z oczyma nabiegłemi krwią i trzymając wzniesiony ponad głową karabin, widząc odznaki podoficera, runął w szalonym ku mnie impecie. Widząc, co się święci, opuszczony chwilowo przez swych towarzyszów broni, pochyliłem się naprzód i złożywszy broń do ataku, ruszyłem w stronę swego przeciwnika; jednakże nie zdoławszy przebiec trzech kroków, pośliznąłem się na przesiąkniętej krwią ziemi, padając w tył z rozłożonemi rękoma. Przeciwnik mój postąpiwszy krok naprzód — wzniósł karabin ponad moją głową, wyprostował się i runął na mnie bezwładnie całem swem ciałem. Poczułem na swem ciele zimny dreszcz.

Po raz pierwszy w mem życiu śmierć tak blisko zaglądnęła mi w oczy. Parę dobrych chwil leżałem bezwładnie w przekonaniu, że ciało moje nie należy już do tego padołu płaczu, przeciwnik mój przygniatał mnie dalej olbrzymim ciężarem swego ciała. Przyszedłszy coś nie coś do siebie, zwróciłem instynktownie głowę w stronę głowy mego oprawcy i wzrok mój spotkał się z oczyma szklanemi, na których śmierć wycisnęła swe piętno. Jednym ruchem oswobodziłem się od ciężaru trupa. Byłem ocalony. W decydującej chwili kula wysłana z naszej strony, przerwała nić żywota wroga, który wznosił broń do zadania mi śmiertelnego ciosu.

Walka trwała dalej. Nieprzyjaciel brał górę, wypierając nasze oddziały, które cofając się ścieliły obficie ziemię trupami i rannymi. Już w oddali widać było szykujących się do ataku kozaków, którzy wypuszczeni jak stado wilków miały nam zadać ostateczną kleskę — gromiąc uciekających niedobitków. O powstrzymaniu nawały nie było mowy, gdyż nieprzyjaciel był liczebnie kilkakroć silniejszy.

W ostatniej niemal chwili na tyłach naszych zagrały trąbki i powietrzem wstrząsnął głośny okrzyk „hurra". To nasze rezerwy szły do ataku nie zauważone poprzednio ani przez nas ani przez nieprzyjaciela. Ogień naszej artylerji, skierowany wyłącznie na kozaków — rozbił niebawem w puch te watahy. Morderczа bitwa na białą broń zawrzała powtórnie, kończąc się tym razem zupełną klęską nieprzyjaciela, który osaczony ze wszech stron, kłuty i rąbany nie dotrzymał pola i uchodząc z początku w porządku począł się następnie mieszać, zaś w końcu uciekać w panicznej trwodze. Żołnierze rosyjscy rzucali masowo broń, oddając się do niewoli, resztę uciekających w nieładzie wytępiła nasza kawalerja lub zostali wybici kulomiotami, tak, że stosunkowo nieznaczne siły zdołały ujść ogólnej zagładzie. O godzinie siódmej wieczorem wojska nasze zajęły miasto Białogród.

Miasto było zupełnie puste i czyniło wrażenie, że wszyscy mieszkańcy wymarli lub uciekli z wojskami rosyjskiemi. Domy pozamykane ze spuszczonemi okiennicami, sklepy pozabijane.

Oddziały nasze rozłożyły się na ulicach, ponieważ wchodzenie do budynków było zabronione. Spędziliśmy noc pod gołem niebem. Dopiero około godziny siódmej rano Żydzi zaczęli otwierać swe sklepy, pełne wszelakiego towaru. Pieniędzy mieliśmy podostatkiem, przeto każdy czynił zakupy.

Około wieczora przy dźwiękach muzyki opuściliśmy miasto, posuwając się w kierunku Krasnostawu. Po kilkugodzinnym marszu znaleźliśmy się u stóp niewysokiej góry, porośniętej dość gęstym lasem. Wysłane na zwiady patrole natknęły się na pokaźny oddział kozacki. Zaczęła się gęsta wymiana kul, co zmusiło cały nasz oddział do rozwinięcia linji bojowej.

Noc przeszła spokojnie, zakłócana od czasu do czasu tylko wymianą strzałów pomiędzy patrolami. Nieprzyjaciel, będąc widocznie dobrze okopany, nie wysyłał w naszą stronę większych oddziałów, wiedząc że sami ku niemu podejdziemy. Sytuacja ta była dla nas bardzo korzystna, gdyż będąc liczebnie słabszymi, nie mieliśmy bynajmniej zamiaru atakować, jak również nie mogliśmy dotrzymać pola w bitwie z kilkakroć liczniejszym nieprzyjacielem, a powtóre mieliśmy możność korzystania z cennego spoczynku.

Nad ranem podeszła druga nasza dywizja w pełnym składzie, zasilona bataljonami marszowymi, mając prócz piechoty także artylerję i kawalerję.

(C. d. n.)

Ze wspomnień o Kubie — Kazimierzu Bojarskim

II.

Plan polegał na tem, że Bojarski wyjedzie natychmiast do Stryja do Moraczewskich, a po jakimś czasie, gdy we Lwowie wśród sfer policyjnych pamięć o nim trochę zaniknie, wróci z powrotem do Lwowa.

Wyjechałem więc z Bojarskim do Stryja, oddając go w dobre ręce Moraczewskich.

Z policją załatwił się Reinländer, umarzając sprawę zawiadomieniem kogo należy, że Bojarski nigdy nie przebywał na bruku lwowskim i że policja po największych wysiłkach nic zdołała niczego o nim się dowiedzieć.

W parę tygodni później zjawiłem się ponownie u Reinländera z prośbą o świadectwo moralności dla jego pupila (tak już odtąd nazywałem Bojarskiego). Świadectwo to było potrzebne, celem zapisania go do szkoły realnej tu we Lwowie. Wstąpiwszy do szkoły realnej, Bojarski okazał się uczniem sumiennym, bardzo pilnym: po zdaniu matury, wstąpił na Politechnikę, stał się „civis academicus", więc człowiekiem, którego — przynajmniej do pewnego stopnia — wziąć mogą w obronę prawa akademickie.

Nie potrzebujemy dodawać, że w czasie studjów w szkole realnej i na Politechnice poświęcił cały swój wolny czas pracy w Związkach Strzeleckich. Należał tam do najlepszych instruktorów i najsumienniejszych pracowników, owianych głęboką wiarą, że praca ta i wysiłek służyć mają nie jakimś w dalekiej przyszłości marzeniom, ale przychodzącym z nieubłaganą koniecznością w najbliższym czasie wielkim zapasom historycznym. Ta głęboka wiara odbijała się w całej działalności Bojarskiego, tak w związkach strzeleckich, jakoteż i w studjach politechnicznych. Wiara ta nie zawiodła go, gdyż w parę lat później, już w r. 1914, stał się żołnierzem sprawy, której od najwcześniejszej młodości oddał się całkowicie.

Wichura wojenna rozniosła nas po świecie. Długi okres czasu nie wiedzieliśmy nic o sobie — byłem w Ameryce do końca października 1915. Wróciwszy, dowiedziałem się z pism, że Bojarski zginął na polu walki w Legjonach. Opis i przebieg walki, w której zginął Bojarski, nosiłem długo przy sobie, tak bliskim był mi ten człowiek i jego czyny. A czyny te były niezwykłe. Dziś jeszcze żywo mam je w pamięci. Biuletyn Legjonów donosił, że prowadził pod Łowczówkiem kilkanaście ataków na bagnety, że z małą kompanją na czele wziął kilkuset jeńców rosyjskich do niewoli, a zginął od pocisku armatniego w czasie, kiedy po trudach walki czuł się względnie bezpiecznym.

Na początku 1916 r., wróciwszy do Lwowa, odwiedziłem dr. Reinländera. Naturalnie, mówiąc o wielu rzeczach, przypomniał sobie i Bojarskiego. Nie wiedział nic o jego losie. Powódź wypadków tak szalona, wiele z nich topiła w swoim odmęcie.

W odpowiedzi na pytanie, dałem mu przeczytać biuletyn, który uszedł jego uwagi. Gorące łzy najlepiej mówiły o wrażeniu, jakie na nim ta wieść wywarła.

Inż. Artur Hausner
poseł na Sejm.

SPROSTOWANIA:

W zeszycie nr. 52 należy sprostować następujące pomyłki korektorskie:

Na str. 4. brak podpisu autora w artykule: „Wspomnienia z 1863 r.": powinno być: *Weteran 1863 r. Rafał Hirsch.*

Na str. 10. po artykule posła Hausnera brak słowa: *c. d. n.*

Na str. 10. w „Notatkach" — Z prasy niepodległ. — opuszczono (przed w nr. 1 z 1911) następujące zdanie: *„W nr. 5 z 1910. Eug. Skierski: De Virtuti Militari.;* w tymże numerze, tegoż autora: *„W ręke broń"*, a także: *„W sprawie wojskowej edukacji młodzieży"*. W tej samej notatce zamiast „Mitkowski" ma być: *„Milkowski"*.

Na str. 11. (u dołu) brak podtytułu: *„W strachu przed wojną"* i zamiast 1812 r. ma być *1912 r.*

Na str. 12. brak podtytułu: *„Śp. Roman Eminowicz, (pseud. liter. Jan Fersten)".*

Notatki

ZWIĄZEK NIEPRZEJEDNANYCH.

Z książki Wł. Studnickiego „*Z Przeżyć i Walk*" wyjmujemy poniżej podany ustęp, dotyczący organizacji militarnej w Galicji pod nazwą „Nieprzejednanych".

„Organizacja powstała w Stanisławowie, a miejsce jej powstania nie było przypadkowem. Powstańcy 1863 r. z małym wyjątkiem przez całe życie pozostali wierni idei niepodległości, reakcja popowstaniowa ich nie ogarnęła. Irredenta polska odrodziła się przed wojną, urosła ze szczątków tradycji powstaniowej i listopadowej. W Stanisławowie przez długi czas po 1863 r. mieszkał członek Rządu Narodowego Giller i promieniował ideami przedpowstaniowemi.

Wpływ więc psychiczny powstania 1863 r. i dawnej polskiej irredenty był tam silniejszy, niż akcji popowstaniowej. Podłożem organizacji byli robotnicy warsztatów kolejowych, technicy i drobni urzędnicy kolejowi, częstokroć należący do t. zw. podurzędników. Główny propagator i jeden z twórców tej organizacji, Zubrzycki, był podurzędnikiem składów kolejowych. Był to człowiek o bardzo wielkiem oczytaniu w literaturze emigracyjnej, spiskach polskich i tajnych organizacjach. Miał zdolności pisarskie, w kilka lat później, w przededniu wielkiej wojny, zasilał „Wiek Nowy" opowiadaniami z powstania 1863 r. W r. 1909 brał udział w założonej przezemnie Lidze Niepodległości, w 1914 r. wstąpił do Legjonów i walczył w szeregu bitew i potyczek. Materjał ludzki w organizacji Nieprzejednanych był niezły. Organizacja ogarnęła szereg miast wschodnio-galicyjskich, gdzie stale przebywali słuchacze Uniwersytetu, którzy dla braku środków nie mieszkali we Lwowie, lecz składali egzaminy i colloquia, ucząc się według skryptów profesorskich. Młodzież ta w znacznym procencie wstąpiła do organizacji. Brakowało tylko odpowiednich sił kierowniczych: fachowych wojskowych poza dymisjonowanymi podoficerami lub oficerami rezerwy nie było, samouctwo wojskowe było postawione słabo. Temu wszystkiemu nie mogłem zaradzić, nie posiadając wykształcenia wojskowego. Przed wyjazdem (do Petersburga) musiałem powołać do życia Komitet Centralny dla „Nieprzejednanych". Zaprosiłem do tego Komitetu Stanisława Downarowicza, który należał wówczas do grupy Odrodzenia. Przeszedł on przez P. P. S. i Proletarjat, uległ pewnym wpływom Lutosławszczyzny i należał do nielicznej organizacji politycznej „Odrodzenie", która miała na celu odrodzenie moralne i restytucję polityczną Polski. Zaprosiłem też Sadowskiego, słuchacza politechniki. Kowieńczyk z urodzenia, z typu psychicznego przypominał Traugutta, pracował nad pirotechniką, znalazł się następnie w szeregach bojowych P. P. S., a wysłany na katorgę, uciekł stamtąd. W 1914 r., na początku wojny światowej, spotkałem go w Legjonach w Kielcach i zabrałem do Częstochowy, aby pomagał mi w akcji werbunkowej; obecnie jest pułkownikiem armji polskiej. Trzecim członkiem Komitetu był Wacław Żmudzki, literat, wybitny bankowiec galicyjski, człowiek zdolny i energiczny. Powołany przezemnie do życia Komitet nie potrafił poprowadzić należycie organizacji „Nieprzejednanych" i rozwiązał ją (1905)".

* * *

Lityński Michał: Z dni grozy i walki o wolność. 8°, str. 220, nakł. autora, Lwów 1928 r.

Każde drukowane wspomnienie z lat wojny i z czasów naszych przygotowań przed 1914 r. należy przyjąć z radością; są to bowiem jedyne źródła dla historji tych czasów, przy pomocy których zobrazować można ogólny stan myśli i pracy społeczeństwa tak w przygotowaniach do czynu zbrojnego, jak i później już w czasie akcji w boju lub w zamierzeniach politycznych.

Szanowny autor wspomnień, znany publicysta, wychowawca kilkunastu pokoleń młodzieży, orędownik naszej roboty niepodległościowej, współpracownik w Legjonowych instytucjach i wybitny obserwator życia społecznego — daje w swej książce żywe obrazy osób i stosunków w tych dziejowych chwilach.

Dużo miejsca poświęcił dyr. Lityński wodzowi nowej Polski, Komendantowi Piłsudskiemu, dziejom I Brygady, Legjonom i N. K. Nowi, również zagadnieniu Sprawy Polskiej zagranicą.

Książka ta powinna się znaleść w każdej bibljotece, a każdy, kogo te czasy interesują, niechaj przeczyta wspomnienia dyr. M. Lityńskiego, a znajdzie tam skarbnicę zapisków i obrazków z lat walk o wolność. Pisane stylem wyborowym, czyta się wspomnienia te jednym tchem, a przeżycia autora nie dla jednego z czytelników będą żywem echem jego własnych przejść.

Wspomnienia Lityńskiego były drukowane w skróceniu w „Panteonie" w 1927 i 1928 r. — Nabyć można w każdej księgarni i u autora we Lwowie (Łyczakowska 73) w cenie 5 zł.

Studnicki Władysław: Z Przeżyć i Walk, str. 377 + 6 nlb. duża 8°, druk W. Zawadzkiego, Warszawa 1928 r.

* * *

Studnicki wydał 1-szy tom swych przeżyć, obejmujący okres do wybuchu wojny 1914 r.

Bezsprzecznie działalność Studnickiego wiąże się z ruchem niepodległościowym popowstaniowym, a osobiste przeżycia jego stanowią nieraz ważny przyczynek do rozwoju akcji niepodległ.

Dlatego książka ta jest dla całości tego ruchu

zobrazowaniem ówczesnych czasów i prądów, a naświetlenie wielu faktów, chociaż często z osobistego punktu widzenia autora — dorzuca czasami wiele dobrze ujętych szczegółów, może nie tyle nieznanych — jak zapomnianych.

W drugiej części: „W przededniu wielkiej wojny" — naświetla Studnicki wiele momentów z czasów przygotowania zbrojnego i ta część, poruszona obszernie w pamiętnikarstwie, bodajże poraz pierwszy, zasługuje na uwagę. Szczegóły o Związku „Nieprzejednanych", tak mało znane, uzupełniają to, o czem swego czasu pisał M. Kukiel w Wiadomościach Polskich i I. Sadowski w Panteonie.

Pozatem tyle ciekawych i dobrze zaobserwowanych i zanotowanych szczegółów z pierwszych czasów naszych organizacyj wojskowych i z Komisji Tymczasowej — uzupełnia tę część, bogatą w treść, mimo że całość przedstawiona jest z punktu widzenia i myśli autora, który jak sam przyznaje, szedł osobną drogą, bez oparcia się o szersze grono ludzi, i wszędzie — bez względu na polityczne poglądy danych stronnictw — pracował i działał tylko w kierunku wyzwolenia i niepodległości Ojczyzny.

I dlatego ze swojem „Veto", które słusznie ukrywało jego nazwisko, mógł przejść drogę od socjalizmu do nacjonalizmu, mógł pracować we wszystkich organizacjach, pismach i być członkiem każdego stronnictwa, chociażby na bardzo krótki okres czasu. Natura przekorna, nie dająca się podporządkować, nie uznająca woli otoczenia — jednak, jak pisze w wspomnieniach z 1909 r.: „jednemu tylko człowiekowi gotów byłem się podporządkować, gdyż uważałem, że jego działalność jest bardziej nieodzowna dla naszej akcji niepodległościowej, niż moja. Człowiekiem tym był *Józef Piłsudski!*"

Studnicki — jako apostoł ruchu niepodległ. i wiary w zbliżający się ogólno-europejski przełom, szedł niezmordowanie do celu, współpracując w wielu dziennikach, w tygodnikach i miesięcznikach. Miewał odczyty, zebrania, wszędzie głosił i wzywał do pogotowia i nie zrzucał ze siebie nigdy tego obowiązku apostolskiego, by nie pójść na zebrania przeciwników politycznej ideologji i na własnych ich konwentyklach zbijać ich poglądy i hasła.

Książkę czyta się z zaciekawieniem, pisana bowiem stylem opowiadania, interesuje wszystkich, a zwłaszcza tych, którzy czasy te przeszli i brali udział w ruchu i walce o tę ideę.

Powiększyła ona wydawnictwa pamiętnikarskie, tak skąpe w Polsce, należy ją więc przeczytać, by poznać ludzi i czasy do wojny 1914 r. (Z.)

* * *

Wydanie drugie „Szlakiem I-ej Brygady" Wacława Lipińskiego. Znana w szerokich kołach czytelników, popularna wśród Piłsudczyków książka Wacława Lipińskiego (Sochy) pod tyle mówiącym tytułem „Szlakiem I Brygady" doczekała się w ciągu niecałego roku drugiego, rozszerzonego wydania. Opatrzył ją dłuższą przedmową świetny pisarz Juljusz Kaden-Bandrowski, pisząc, iż „żywot i losy młodego żołnierza legjonowego uwypukla Wacław Lipiński najcenniejszemi sztrychami, a los ów właśnie to wielki dobroczynny wkład bohaterstwa, z którego rośnie dziś w Europie dumna i tak szczęśliwa nasza wolność".

Ogromny sukces swej książki zawdzięcza autor nietylko walorom opisowym pełnym „wysokiego napięcia dramatycznego, pełnym czaru i uroku — czaru bezpośredniej prawdy" — jak pisze Kaden-Bandrowski — lecz przedewszystkiem warunkom, w jakich książka powstała. Pisana jest ona bowiem w okopach, pisana jako dziennik żołnierski, obejmujący w całości okres walk i przeżyć I Brygady Legjonów Polskich od początku światowej wojny, aż do ostatecznego Legjonów rozbicia.

Mjr. dr. Wacław Lipiński, autor wspomnień wojskowych „Wśród lwowskich orląt", „Od Wilna do Dynaburga" oraz całego szeregu szkiców z zakresu historji wojskowości, wstąpiwszy z łódzką drużyną skautową, jako młody niespełna 18-letni chłopiec do Legjonów — nie opuszcza ani na jeden dzień swego 5 pułku, w którym bez przerwy, nie będąc ani rannym ani chorym, pełni żołnierską służbę. Jednocześnie z rzadką cierpliwością dzień po dniu zapisuje wszystkie swe wrażenia, nieraz w kilkunastu słowach, nieraz na szeregu stronic swego pamiętnika.

Mjr. dr. W. Lipiński

W ten sposób na kartach żołnierskiego dziennika sierżanta I brygady znajdujemy wszystkie bitwy, marsze, wszystkie przeżycia, wszystkie złe i radosne chwile, jakie młodzi żołnierze legjonowi w czasie trwania krwawych zmagań wspólnie ze swym Wodzem Józefem Piłsudskim przeżywali.

Lecz nietylko sama akcja bojowa żywo i wy

raziście przedstawiona jest na kartkach pamiętnika. Zarówno bitwy, patrole, jak i całe wewnętrzne ideowe życie I Brygady znajdują w nich swój wyraz.

Przed oczyma czytelnika przesuwają się postacie komendanta Piłsudskiego, Sosnkowskiego, Śmigłego, Berbeckiego, Wyrwy-Furgalskiego, Sławaw Zwierzyńskiego, Długosza Sulkiewicza i cały szereg żyjących i poległych bohaterów legjonowych.

To stanowi, że pamiętnik Wacława Lipińskiego „Szlakiem I Brygady" nietylko przedstawia cenną i miłą pamiątkę dla uczestników bojów legjonowych, nietylko daje możność społeczeństwu polskiemu poznania trudów i znojów żołnierzy Legjonów, ale zarazem przedstawia pierwszorzędne źródło historyczne, z którego długo będą czerpać ci, którzy wniknąć i wgłębić się będą chcieli w rolę i dziejowe znaczenie I Brygady Józefa Piłsudskiego.

* * *

ZWIĄZEK STRZELECKI W TARNOWIE urządza dnia 10 lutego br. MARSZ TARNÓW-PILZNO, celem uczczenia 14 rocznicy powieszenia śp. por. I Bryg. Stanisława *Króla-Kaszubskiego*.

Od Redakcji.

Następny zeszyt „Panteonu" wyszlemy tylko tym Czytelnikom, którzy uiszczą przedpłatę na 1929 r. i wyrównają należytość za 1928 r.

* * *

Zeszyt 54 wyjdzie w pierwszych dniach marca b. r. i poświęcony będzie Komendantowi Józefowi Piłsudzkiemu.

* * *

Każdy czytelnik powinien zjednać jednego nowego prenumeratora.

Odnowić przedpłatę na I. kwartał. Kwotę przesłać blankietem pocztowej kasy oszczędności Nr. 152930.

W następnym miesiącu wstrzymamy wysyłkę tym, którzy nie odnowią przedpłaty.

Poszukujemy Nr. 2, 4, 6, 27, 28 i 40 — zapłacimy podwójną cenę.

Redaktor przyjmuje codziennie od 3 do 5 pop. przy ul. Listopada 81.

Kto otrzymał „Panteon Polski" i niema zamiaru prenumerować — niechaj zwróci ten zeszyt, względnie niechaj uiści kwotę 90 gr.

Józef Piłsudski o Sobie

zebrał i wydał Z. Zygmuntowicz.

Treścią tej książki jest życie i przeżycia Marszałka od kolebki do ostatnich czasów, według

własnych słów i opisów

Przeszło 120 stron druku dużego formatu, kilkadziesiąt ilustracji.

Nieznane opisy z życia Komendanta, przewijające się od dzieciństwa w Żułowie, poprzez lata szkolne, sybirskie szlaki, katorgi i wygnanie w Tunce, X pawilony, przygotowania do ruchu zbrojnego, poprzez organizacje Strzelca, walki w Legjonach, Magdeburg i Naczelnikostwo Państwa, poprzez lata walk o wolność w 1920 r. i wreszcie do ostatnich czasów, wszystko opowiedziane, wzgl. opisane przez Marszałka w różnych czasach i okolicznościach.

Książka nieodzowna przy uroczystościach, przemówieniach i t. p.

Każdy Polak powinien poznać życie WIELKIEGO CZŁOWIEKA naszej doby, zwłaszcza z Jego własnych słów.

Cena tej książki wynosi 10 zł. (opr. 15 zł.).

Dla P. T. Wojskowych i Urzędników Państwowych, Policji Państwowej, Nauczycieli i Bibljotek publicznych i naszych rocznych prenumeratorów cena zniżona

tylko 8 zł. opłatnie.

(Oprawiona w płótno z złoconym napisem zł. 12 opłatnie).

Zamówienia prosimy skierować pod adresem Administr. „Panteonu Polskiego" Lwów Skrytka 98

REDAKTOR ODPOWIEDZ. Z. ZYGMUNTOWICZ. ADR. RED. I ADM. LWÓW, SKRYTKA 98 — TEL. 22.90.
KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. CYNKO-GRAF., „ARS", SYKSTUSKA 52. — DRUK. „SZTUKA", PLAC STRZELECKI 2.